



POWIEŚĆ  
OBYCZAJOWA  
SERIA MOSTY

# Rodzinne sekrety

JUSTYNA BEDNAREK

# **Rodzinne sekrety**

# Rodzinne sekrety

---

JUSTYNA BEDNAREK

  
SERIA MOSTY

## **Rozdział pierwszy,**

**w którym wraz z główną bohaterką wpadamy w czarną rozpacz, przekonujemy się, że Krzysztof to drań i poznajemy historię tajemniczych snów Stefanii.**

Mówi się, że w życiu pewne są tylko zmiany. Choć sama powtarzałam ten banał wiele razy, dopiero niedawno doświadczyłam na własnej skórze, że to prawda. Zaledwie miesiąc temu byłam szczęśliwą i spełnioną kobietą. Tak przynajmniej mi się wydawało. Moja jedyna troska polegała na tym, czy premia, jaką miałam otrzymać pod koniec marca, pokryje w całości koszt sukienki ślubnej. Potrzebowałam jej już na czerwiec, więc niepokoiłam się, czy do premii nie trzeba będzie trochę dołożyć.

Tak, szykowałam się do zamążpójścia i chciałam wyglądać jak księżniczka z filmu Disneya. To znaczy – chcieliśmy. Ja i Krzysztof, mój rozmarzony poeta, rudowłosy zdobywca górskich szczytów. Facet, który potrafił zagrać pod oknem serenadę i zrobić szakszukę na śniadanie.

Jeszcze trzydzieści dni temu sądziłam, że wszystkiego jestem w życiu pewna. W końcu znaleźmy się od tylu lat. „Jak łyse konie”. Tak, tak, już słyszę te komentarze: nie można kochać do szaleństwa łysego konia. Cóż, kiedy wszystko wskazywało na to, że po etapie motyli w brzuchu nasza miłość weszła na wyższy poziom. Poza tym nie miałam absolutnie żadnego powodu, żeby sądzić, że coś jest nie tak! Aż do ubiegłego miesiąca.

Wyjechałam na wieś, żeby trochę popracować. Ślub, wesele, podróż poślubna – to wszystko absorbowało mnie tak mocno, że nie byłam w stanie skupić się na pracy. Zmiana miejsca miała mi pomóc.

– Jedź, oczywiście! – powiedział Krzysztof. – Skończysz pisać ten swój podręcznik i wrócisz do planowania wesela z wolną głową.

Korzyść z posiadania zamożnych przyjaciółek polega także na tym, że mieszkają domy na wsi. Było w czym wybierać. Mogłam pojechać do Zosi nad morze, do Julki na Podlasie albo do Leny na Mazury... Padło na ścianę wschodnią.

Dom, który Julka odziedziczyła po swoich dziadkach, stał w miejscu, gdzie „wrony zawracają”. W malowniczej wiosce było pusto i cicho – na co dzień mieszka tu może piętnaście osób. Albo i mniej. No i prawie nie ma zasięgu.

Równiutko trzydzieści dni temu leżałam więc sobie na poddaszu starej podlaskiej chaty, w ogromnym starym łóżu. Deszcz dudnił o dach, harmonizując mój układ nerwowy, a ja przeglądałam notatki.

Zabrzączał telefon. Nawet mi się nie chciało wyciągać po niego ręki... No ale wyciągnęłam. SMS od Krzysia. Wysłał mi jakiś filmik, ale, oczywiście, nie udało mi się go ściągnąć – przez ten fatalny zasięg na jedną kreskę. Niedbale wyciągnęłam rękę, by odłożyć aparat, ale wypuściłam go i wpadł pod łóżko.

„A leż tam sobie” – pomyślałam i wróciłam do roboty. Miałam bardzo produktywnie popołudnie, zrobiłam więcej, niż chciałam.

Potem poszłam na spacer, bo przestało padać. Zrobiłam bukiet z wilgotnych rumianków. Zjadłam ser ze szczypiorkiem. Przebrałam się w kolorową sukienkę Julki, którą znalazłam w szafie. Opisuję to szczegółowo, bo chwile sprzed miesiąca utkwiły we mnie z każdą najdrobniejszą pierdólką. Chcę przytrzymać je jak pamiątki po ostatnich momentach szczęścia i po tamtej mnie – tamtej Uli. Radosnej, roześmianej, z planami na przyszłość. Z Krzysztofem u boku.

Poszłam spać wcześniej – tak jest z tym wiejskim powietrzem, że wyciąga z człowieka energię i senność przychodzi w porze, gdy zazwyczaj dopiero zaczynam prawdziwe życie. Ułożyłam się w wygodnym łóżu na poddaszu i pomyślałam, że wyślę miłosne „dobranoc” narzeczonemu. Po chwili gimnastyki udało mi się wyciągnąć telefon spod łóżka i przypomniałam sobie o filmiku, który kilka godzin wcześniej przysłał mi ukochany. Zdążył się ściągnąć. Musnęłam palcem ekran...

Ciąg dalszy jest tak banalny, że szkoda czasu i atłasu, żeby to opisywać. I tak już każdy się domyśla. Ale dobrze, brnijmy w to. Ujrzałam oto bowiem mojego przyszłego męża uprawiającego miłość francuską z... no właśnie, tego nie byłam pewna, bo na nagraniu dokładnie było widać tylko jego plecy i pośladki na tle zasłon, które razem kupiliśmy kilka dni wcześniej. Na nową, kurwa, drogę życia!

W sumie było mi dość obojętne, kim jest kobieta po drugiej stronie Krzyśka. Chociaż... w pierwszej chwili przemknęła mi przez głowę pewna myśl... Nie, nie i jeszcze raz nie! Co za dużo, to niezdrowo, na razie zostawmy tę myśl, która wypełzła w tamtej chwili jak wąż spod kamienia. Zresztą – to było niemożliwe. Dziewczyna z filmiku miała na barku niewielką kolorową ważkę. Tatuaż. A ja nie znam nikogo, kto by taki miał.

Popadłam w odrętwienie. Nie byłam w stanie poruszyć się przez kilka godzin. Siedziałam z tym głupim telefonem w ręku i raz po raz odtwarzałam filmik – w sumie nie wiem po co. Może miałam nadzieję, że za którymś kolejnym razem okaże się, że to jednak nie on? No ale się nie okazało. Pomyślałam, że chyba powinnam się rozpłakać, ale czułam się jakby zamrożona.

Nad ranem usnęłam. Śniło mi się, że jestem dziewczynką. Taką naprawdę maleńką, a wszystko wokół mnie jest ogromne: meble, przedmioty. Kwiaty doniczkowe jak baobaby. Wokół mnie krążyła olbrzymka w kraciastym fartuchu – moja babcia Ludwika, zwana przeze mnie Lulą. I jeszcze kilka innych, równie potężnych kobiet, które wychodziły z kolejnych pokoi. Wszystkie zatroskane. Zabawne, bo widziałam wyraźnie ich twarze, chociaż we śnie zwykle obrazy ludzi są zamglone. „Jak ona sobie poradzi? Jak ona sobie poradzi?” – powtarzały, krążąc wokół mnie. A ja stałam, przytulona do nogi kuchennego stołu.

„Ona sobie poradzi, poradzi sobie lepiej niż wy wszystkie!” – odpowiadała we śnie moja babcia. I może dlatego właśnie, że tak powiedziała, obudziłam się w nieco lepszym stanie, niż szłam spać.

Miałam siłę, żeby pozbierać swoje manatki, zapakować je do auta i ruszyć z piskiem opon w kierunku Warszawy.

Puściłam ze Spotify'a Davida Bowiego. Zawsze słuchaliśmy tego razem w samochodzie i to był odruch. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że ta składanka nie będzie, nie może już być „naszą” ścieżką muzyczną do migających za oknem krajobrazów. I wtedy w mojej piersi pojawił się tępy ból. Był tak potężny, że się przestraszyłam i zjechałam na pobocze.

– Jeszcze tego by brakowało, żebym przez drania wpakowała się pod tira – mruknęłam do siebie.

Sięgnęłam po wodę i w tym momencie mnie olśniło: właściwie dlaczego on mi to przysłał?! Może chciał powiedzieć w ten sposób, że ze mną zrywa? Oryginalne jak na romantyka, za którego sam się uważa... A może się upił?!

Powoli uspakajałam oddech. Zaczęłam szukać w telefonie muzyki, która nie wywoływałaby lawiny wspomnień i „totalnego zaćmienia serca”. Padło na Shannon and The Clams. „Jezu, Ulka, jak możesz słuchać takiej tandety?!” – narzekał Krzysztof, ile razy próbowałam to puścić. Teraz więc podkręciłam dźwięk najgłośniejszemu, jak byłam w stanie znieść. Gdyby to nie działało się w samochodzie, na pewno przegapiłabym telefon od babci.

– Cześć, Uleczko, śniłaś mi się – zaczęła, gdy tylko nacisnęłam na kierownicy ikonkę ze słuchawką.

– Ty mi też, babciu – powiedziałam.

Chciałam jej streścić koszmar ostatnich godzin, ale zamiast tego się rozplakałam. Łkałam, a babcia milczała po drugiej stronie.

– Gdzie jesteś? – zapytała wreszcie.

Kiedy wyjaśniłam, że mknę autostradą S8, kazała najpierw napić się kawy na stacji benzynowej, a potem jechać prosto do siebie.

Niczego babci nie powiedziałam. Nie musiałam. Kobiety w naszej rodzinie obdarzone są silną intuicją. No wiecie, mają prorocze sny, czasem widzą duchy.

Spokojnie, o duchach nie będę opowiadać, choć mam w zanadrzu kilka niesamowitych historii. Raczej chciałam się skupić na snach.

Każdy, do kogo przychodzą we śnie opowieści, zdaje sobie sprawę, że nie jest to tylko mieszanka przeżyć i myśli. To coś więcej. W snach otrzymujemy dodatkowe doświadczenie – w świecie różniącym się od jawy, choć do niej podobnym. Po co? Może żebyśmy uwierzyli, że nasze życie na jawie to nie wszystko.

Pamiętam, że kiedyś jako nastolatka nocowałam przez trzy kolejne noce w starym łemkowskim domu. I trzy razy śniła mi się kobieta, która bardzo się czegoś bała i błagała mnie o pomoc. Nikt z mieszkańców nie potrafił mi wyjaśnić, kto to był i czego ode mnie chciał. Pomodliłam się za tę biedną

duszą, bo co innego mogłam zrobić. Ale ta historia jest niczym w porównaniu z przeżyciem mojej ciotecznej prababci, Stefanii. To jest dopiero dowód na istnienie światów równoległych!

### **Sny prababci Stefanii**

Pierwszy sen miała Stefa jako dziesięcioletnia dziewczynka. Mieszkała wtedy razem z rodziną w Jarosławiu – tym, który dziś jest na terenie Ukrainy. W pięknym domu z ogrodem, niedaleko klasztoru dominikanów. Wielkie drzewa, o koronach wychodzących wysoko ponad klasztorny mur, wieczorami rzucały cienie układające się na chodniku przed gankiem w fantastyczne kształty. Można z nich było wyczytać wyścigi olbrzymów, bitwy morskie, mapy nieodkrytych kontynentów. Stefcia razem z Julką (swoją młodszą siostrą) zabawiały się w układanie historii z tych poruszających się plam. Jak to często bywa wśród rodzeństwa, starsza Stefa była poważna, melancholijna, skłonna do wzruszeń, obdarzona fantazją liryczną. O młodszej o rok Julii mówiono, że jest sprytna i żywa. Zawsze pierwsza zarzucała ręce na szyję i umiała wycisnąć uśmiech z twarzy najsurowszych ciotek, które przy Stefanii zaciskały usta w kreseczkę. Te talenty los zawsze rozdziela nierówno.

W pierwszym śnie Stefy nie było Julki. Siedziała w nim sama przy stole, w pokoju, w którym zwykle odrabiała lekcje i z którego obserwowały cienie drzew na trotuarze. Musiało być południe, zapewne niedziela, i właśnie kaligrafowała w zeszyte litery. Okno, które o tej porze roku zawsze pozostawało otwarte, zamknęło się z hukiem. Zrobiło się szaro, chłodno, jakby nadciągnęła gradowa chmura. Stefa poczuła, że nie jest już w pokoju sama. Podniosła wzrok. Przy drzwiach stała jej matka w granatowej sukni do połowy łydki, w dziwacznym uczesaniu, jakiego nigdy nie nosiła na jawie. Te zmiany wywołały w niej niepokój. Niby bliska osoba, a inna, obca. Obok matki stał chłopiec – na oko ze dwa lata starszy od Stefy. Miał ciemne włosy i małe znamię na policzku. Ubrany był w spodnie, które wydawały się za krótkie. Trochę przypominał sąsiada z naprzeciwka, ale tego dziewczynka we śnie sobie nie uświadomiła.

– Stefcu, to jest twój narzeczony – powiedziała mama tonem, jakim zwykle nakazywała jej zabrać się do lekcji albo posprzątać pokój.

We śnie Stefania poczuła podekscytowanie i ciekawość – jaki on jest? Ale zaraz potem marzenie rozpełzło się, rozmyło w absurdalnych sytuacjach, zaludniło postaciami bez znaczenia. Nigdy tego snu nie zapomniała, choć też jakoś go



nie roztrząsała. Aż do dnia, gdy po kilku latach pojawił się sen numer dwa.

Było to krótko po tym, jak młodsza z sióstr – Julka – robiąc akrobacje na koźle, skręciła nogę. Lekarz kazał jej przez dwa tygodnie nie opuszczać łóżka. Dom natychmiast wypełnił się gromadą młodzieży, głównie męskiej, która przychodziła z wizytą do poszkodowanej. Zakochani w Julce chłopcy przynosili jej kwiaty, czekoladki i ciekawe książki.

Pewnego dnia jeden z zalotników ukradł z kredensu fotografię dziewczyny, żeby zrobić dla niej kilka lusterek z jej wizerunkiem po drugiej stronie. Chłopak przyniósł je parę dni później, prosząc, by pozwoliła mu w nagrodę zachować fotografię. Niestety, lusterka poznikały w kieszeniach innych wielbicieli, a Julka została bez zdjęcia i bez lusterek.

Ponieważ te zaloty nie spotykały się z naganą dziewczyny ani jej rodziców – po pewnym czasie znalazł się kolejny adorator. Ten śmiałek dokonał skoku na zakład fotograficzny. W jego gablocie parę miesięcy wcześniej umieszczono powiększoną odbitkę tego samego zdjęcia – fotograf chciał wykorzystać dziewczęcy urok, by przyciągnąć klientów.

Chłopak, zaopatrzony w wielką biało-czerwoną płachtę, wspiął się potem na mury klasztorne i wywiesił skradzione zdjęcie na patriotycznym tle. Gdy zwabiona krzykami Julka

przybiegła na miejsce, mogła wysłuchać pełnej fałszywych nut serenady i podziwiać swój portret wiszący na murze.

Romantyczny happening skończył się interwencją zirytowanych sąsiadów. Czy jednak można było mieć za złe młodzieży, że kocha się i bawi? Czy można było mieć Julce cokolwiek za złe?

– Żywe srebro – powiedziała całkiem udobruchana sąsiadka.

Stefania w tym czasie przygotowywała się do matury i chowała po kątach: intensywne życie towarzyskie siostry raczej ją męczyło. Jako poważniejsza umiała się jednak koncentrować, skupiać na tym, co ważne, i dopiero jej drugi sen wytrącił ją lekko z równowagi.

Śniła, że znalazła się na łące, która wyglądała jak reklama szwajcarskiej czekolady. Zielona połać, gdzieś tam barwne plamki kwiatów, dookoła góry o przybielonych wierzchołkach i biały mały dom pośrodku. Podeszła do drzwi, nacisnęła klamkę. Wnętrze zalane słońcem, meble z jasnego drewna, delikatne firanki, róże na filiżankach, dźwięki dzwoneczków... Któż by nie chciał zamieszkać w takim domu! Nagle poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciła się.

– To, Stefcu, będzie nasz dom – powiedział chłopak. Ten sam, który przyśnił jej się w dzieciństwie, oczywiście odpowiednio starszy, przystojny, postawny.

Obudziła się z poczuciem, że gdzieś niedaleko czeka na nią jej szczęśliwy los, który niedługo stanie się jawą. Próbowała przyporządkować twarz chłopca ze snu do któregoś znanego oblicza. Może to któryś z wielbicieli Julki, który tak mocno podziałał na jej podświadomość?

Minął rok. Stefania studiowała historię, Julka zdała właśnie maturę i dostała się na wydział malarstwa. O tym, że będzie artystką, zdecydował, jak zawsze w jej przypadku, chwilowy kaprys.

Była pełnia lata, świat pachniał miodem i suszonym sianem. Matka zabrała córki do uzdrowiska na trzytygodniowy wypoczynek. Mieszkały w dwóch przestronnych pokojach z widokiem na źródło, z którego tryskała zalatująca siarką woda – tak samo zdrowa jak niesmaczna. Jedyną niewygodą okazała się konieczność wędrowania z pokoiów do ubikacji przez całą długość korytarza, co niestety zdarzało się dosyć często, gdyż siarka działała na dziewczęta moczopędnie.

Czasem taki ucisk pęcherza może odmienić los. Którejś nocy Stefanię obudził właśnie pęcherz. Wokół panowały absolutne ciemności, to była pewnie druga albo trzecia w nocy. Powoli, żeby nie obudzić śpiącej z nią w jednym łóżku siostry, wstała i cichutko wysunęła się na korytarz. Idąc przy ścianie, dotarła do miejsca przeznaczenia, a potem w drugą stronę – do pokoju.

Nacisnęła klamkę. Przy zaciągniętych roletach kształt łóżka ledwie majaczył. Trafiła jednak pod kołdrę, wyczuwając obok to drugie ciało. W tym momencie usłyszała trzask zapałki. W ciemności rozżarzył się czubek papierosa. Ktoś obok zaciągnął się i nie była to jej siostra Julia, która przecież nie paliła papierosów! A w każdym razie – nie w nocy!

Z tłumionym krzykiem Stefa wypadła na korytarz. Tym razem trafiła we właściwe drzwi. Była tak roztrzęsiona, że wyjątkowo nie uszanowała snu siostry. Jąkając się i popłakując z nerwów, opowiedziała, jak władowała się do łóżka obcemu mężczyźnie. Julka słuchała uważnie, pytała o to, jak wyglądał, czy poznałaby go za dnia.

– No skąd! Wszystko, co widziałam, to ten czubek papierosa!

– Po tym go raczej nie rozpoznasz. Ale to dobra wiadomość, bo istnieje szansa, że i on nie pozna ciebie. Para tajemniczych nieznajomych w ciemnościach... – chichotała Julka.

– Przestań! A co, jeśli jednak pozna? Spalę się ze wstydu!

– Nie przesadzaj, to dość zabawne. Przecież nie powiemy o tym mamie. – Julka ziewnęła.

Stefania nie podzielała optymizmu siostry.

W przeciwieństwie do niej tej nocy nie zmrużyła już oka.

Przeczuwała, że historia będzie mieć ciąg dalszy – nie miała co do tego wątpliwości.

I nie myliła się.

Następnego dnia wszystkie trzy damy zeszły na śniadanie punktualnie o dziewiątej. Stefania siedziała nad poranną kawą z mlekiem ze spuszczoną głową, starając się jak najmniej rzucić w oczy. Julia – przeciwnie. Ciekawie rozglądała się dookoła, jakby kogoś wypatrywała.

I nagle – jest! To musiał być on! Miał na sobie mundur porucznika. Jego sztywne, wysokie buty były chyba podkute, bo gdy szedł w ich stronę po kamiennych płytkach jadalni, jego kroki niosły się metalicznym echem. Zupełnie jakby kroczył sam los.

Stanął przy stoliku pań – żadna z sióstr nie miała wątpliwości, kim jest ten człowiek. A on ukłonił się i wyjaśnił zdziwionej matce, że przyszedł z przeprosinami, bo zachował się karygodnie i gotów jest ponieść wszelkie honorowe konsekwencje swojego postępku.

Przerażona Stefania nie była w stanie wykrztusić słowa. Natomiast Julka, która w jednej chwili oceniła klasę tego wyznania oraz samego porucznika, poderwała się i teatralnie padła przed matką na kolana.

– Wybacz nam, mamo – zawołała płaczącym głosem.

Wobec tak gwałtownej skruchy matce nie przyszło nic innego, jak faktycznie wybaczyć, chociaż nie miała pojęcia, co się wydarzyło. Wybaczyła chętnie, bo stojący przed nią oficer

wyglądał na sensowniejszą partię niż wszyscy złodzieje lusterek razem wzięci.

Ten chorobliwie odpowiedzialny człowiek nigdy się nie dowiedział, że związał życie wcale nie z tą siostrą, której honoru postanowił bronić. No ale Julka – wiadomo – była sprytna.

A Stefania na weselu siostry poznała swoją miłość. To także był wojskowy, kolega pana młodego. Dziewczyna stała akurat przy bufecie, trzymała półmisek z ptifurkami, kiedy podszedł. Ona w tej samej chwili przechyliła talerz i wszystkie ciasteczka wylądowały w trawie.

Ta scena mogła być początkiem cudownej historii o dwóch połówkach jednej starej duszy, które odnalazły się po tysiącu lat osamotnienia. Tak właśnie czuła Stefania. Od pierwszej chwili poczuła z tym mężczyzną porozumienie, silną telepatyczną więź, jaka zdarza się czasem między bliźniakami albo między matką i córką. Ona mówiła na przykład:

– Zapomniałam, jak się zaczynał ten wiersz, no, no...

– A kiedy będziesz moją żoną... – odpowiadał on.

Podobały im się te same rzeczy, godzinami mogli wymieniać trzy słowa na krzyż, a było tak, jakby trwała między nimi fascynująca i bogata w treści rozmowa.

Niestety, wszystko to trwało krótko, zaledwie parę tygodni. Po tym czasie gruchnęła wieść, że ukochany Stefanii

sprzeniewierzył znaczną sumę. Napisano o tym nawet w gazecie. I chociaż szybko okazało się, że oskarżenie było niesłuszne, a pieniądze się odnalazły, Stefania musiała rozstać się z ukochanym. Jej rodzice uznali, że człowiek, na którego padł choćby cień podejrzenia, nie jest odpowiednią partią dla ich córki. Takie były czasy.

Na nic zdał się płacz dziewczyny, histeryczne rzucanie się na podłogę, a nawet wysoka gorączka. Lekarz, który przyszedł do domu, przepisał jej brom, po którym wpadła w apatię i tak trwała przez wiele tygodni.

I właśnie wtedy, gdy przybita spędzała całe dnie, obserwując plamy na suficie, przyśnił się Stefanii trzeci, a potem czwarty sen.

W tym trzecim jechała gdzieś pociągiem i miała się spotkać na stacji z ukochanym – ale nie tym rzeczywistym, a jej chłopcem ze snu, ze znamieniem na policzku. Przedzierała się przez kolejne przedziały, gdzieś daleko z przodu majaczyły jego plecy, ale nie mogła go dogonić.

Czwarty sen przyszedł parę dni później. Była w nim aktorką występującą w filmie historycznym – przebrana w czarną perukę w stylu Nefretete i złotą suknię. Siedziała w lektyce, a reżyser tłumaczył jej, że teraz niewolnicy zanoszą ją do świątyni, gdzie czeka na nią tłum mężczyzn. Każdy z nich ma unieść kciuk – w geście Cezara darującego życie gladiatorowi.

Ona ma się przyrząść i wybrać tego, kto unosi palec naprawdę perfekcyjnie.

No i rzeczywiście, dojechali na miejsce, gdzie kłębili się mężczyźni. Wszyscy machali rękami, próbując zaprezentować swoje kciuki. Stefania aktorka wskazała pierwszego z brzegu mężczyznę. To z nim miała wziąć ślub w świątyni, ruszyła więc z orszakiem po schodach, ku wejściu. W tym momencie na plan wjechał samochód, trąbiąc i hamując z piskiem opon. Zatrzymano scenę.

„Co za idiota – pomyślała – zepsuł nam ujęcie!”. Usłyszała, że ktoś wysiada z auta, jednocześnie boczne drzwi świątyni się otworzyły i wysypała się z nich procesja jak na Boże Ciało.

Mężczyzna z samochodu, skacząc po dwa stopnie, dopadł Stefy i pokazał jej uniesiony kciuk – najbardziej perfekcyjny palec, jaki w życiu widziała. To był on! Człowiek ze znamieniem z równoległej rzeczywistości odwiedził ją już czwarty raz! Obudziła się.

A potem nadeszły smutne, poplątane tygodnie, które wyłoniły kolejnego bohatera tej opowieści. Był nim dość niepozorny, pogodny, choć niezbyt błyskotliwy zapalony brydżysta. I on się na Stefanię uparł. Snuł się za nią, zawsze był pod ręką, przekonywał, że wszystko wytrzyma, wszystko przeczeka, byleby tylko chciała z nim być.

– Ty mnie jeszcze nie kochasz – mówił – ale wytrzymam to. Wiem, że zostaniesz moją żoną.

No i faktycznie, przyszedł taki dzień, gdy wydał się jej nieco mniej nudny niż zwykle i nawet wzruszający przez tę swoją wiernopoddańczą postawę. Jej „tak” było podszyte delikatnym rozczarowaniem i przekonaniem, że to, co najlepsze, i tak już za nią.

Trwała wówczas wojna. Nie było mowy ani o ślubie z pompą, ani o hucznym weselu. Po prostu pewnej niedzieli podjechali dwoma samochodami pod kościół. Młodzi i najbliższa rodzina. Szli po schodach, gdy nagle z bocznych drzwi świątyni wyszła niewielka procesja. Nikt nie wiedział, dlaczego Stefania raptownie się zatrzymała. Nie odpowiadała na nerwowo zadawane pytania, jakby zasnęła na jawie. A ona po prostu czekała na pisk hamulców i kroki. I kciuk uniesiony na znak łaski.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Co nie oznacza, że ostatecznie nie znalazła szczęścia. Przyszło, razem z dzieckiem. Ono pozwoliło Stefanii mocniej stanąć na ziemi, skupić się na miłych codziennych drobiazgach, sprawach konkretnych. Męża też na swój sposób pokochała – tak się przynajmniej wydaje. Był wesołym ojcem, który potrafił się turlać z córką po dywanie, a także dosyć przyzwoitym mężem.

Oczywiście nie było między nimi porozumienia, jakiego doświadczyła z tamtym. Czy jednak nie było ono złudzeniem? Z biegiem czasu zrozumiała, że wszystko się zużywa i nie ma sensu tęsknić za niepewnym. A jednak do końca życia najmocniej czuła się związana z tą swoją pierwszą, niespełnioną miłością, śpiącą pod szarym kamieniem, na którym wdzięczni rodacy wyryli napis: „Chwała bohaterom”.

Kiedy dziecko miało kilka lat, zdarzył się Stefanii ostatni poryw serca, który nie omija przecież przyzwoitych mężatek. To był kolega z pracy, nauczyciel WF-u. Spotkali się parę razy ukradkiem, pocałowali w bramie. Do końca życia pamiętała jeden wykradziony letni wieczór, kiedy wsunął jej rękę pod sukienkę. Wtedy uświadomiła sobie, że czas psychiczny biegnie inaczej niż fizyczny. Od siebie pytającej o wiersz Tetmajera była w tamtej chwili oddalona o całe wieki, chociaż tak naprawdę minęło mniej niż dziesięć lat.

I jakoś wtedy właśnie miała swój ostatni sen z równoległej rzeczywistości. Zjeżdżała na nartach do schroniska. Bardzo się spieszyła, bo nadciągała potężna burza śnieżna, a ona miała w chuście przytroczoną do piersi córeczkę. Szczęśliwie udało się jej dotrzeć na miejsce przed załamaniem pogody. Weszła do ciepłego, pachnącego płonącym drewnem pomieszczenia i usiadła na ławie. Była sama, ale ktoś jeszcze miał się zjawić.

Był to ten mężczyzna – już dawno nie chłopiec. Brunet ze znamieniem na twarzy. W każdym kolejnym śnie zmieniał się razem z nią.

– Chodź, musimy jechać dalej – powiedział. – Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć przed śnieżycą.

Poczuła przez sen ciepło rozlewające się wokół serca. Od takich iskerek zaczyna się szczęście. Podnosząc się z ławy, zdała sobie sprawę, że przecież trzyma na kolanach dziecko!

– Nie mogę, nie narażę dziecka, musimy tu przeczekać burzę.

– No nie – powiedział mężczyzna ze snu. – Ono tu zostanie. Musi.

– W takim razie zostanę i ja. – Stefa ciężko klapnęła na ławę.

– W takim razie wyjdę i nigdy już nie wrócę – powiedział mężczyzna.

I słowa dotrzymał, chociaż cóż znaczy słowo wypowiedziane we śnie.

A potem była reszta życia. Córka dojrzewała, mądrzała, wyszła za mąż i urodziła własne dzieci – mojego wujka i ciotkę, którzy dali swojej babci Stefanii ogromne szczęście i pociechę, gdy przyszło wdowieństwo. Były gazety, seriale, piątkowe partyjki brydża z przyjaciółmi. Kartki z Anglii od Julki z mężem, potem listy od samej Julki, a potem raptem nawyk zdawania

relacji z codzienności zaczął trafiać w pustkę. Była też coraz większa dbałość o zdrowie. Czasem Stefania stawiała przed lustrem i pytała samą siebie:

– To ja? To naprawdę ja?

Historię chłopca ze snu chętnie opowiadała kobietom z rodziny. Dzięki temu stała się i moją własnością, bo prababcia Stefa była osobą wyjątkowo długowieczną, więc i ja załapałam się na jej opowieści.

– Myślę, że czekała gdzieś na mnie jakaś inna wersja mojego losu, wydarzenia, które nie doszły do skutku, chociaż były przygotowane specjalnie dla mnie. Ale nie ma o czym mówić, dobrze jest, jak jest – mówiła, stawiając ciastka na stole.

Czy można się dziwić, że sny są w naszej rodzinie ważne?